


KS. ADAM BEZAK



CZEKAJĄC  
NA SŁOŃCE



**CZEKAJĄC  
NA SŁOŃCE**



Ks. Adam Bezak

# CZEKAJĄC NA SŁOŃCE



Tarnów 2019

© by Wydawnictwo BIBLOS, Tarnów 2019

ISBN 978-83-7793-685-6

N i h i l o b s t a t  
Tarnów, dnia 04.10.2019 r.  
*ks. dr hab. Marek Kluz, prof. UPJPII*

I m p r i m a t u r  
OW-2.2/48/19, Tarnów, dnia 04.10.2019 r.  
Wikariusz generalny  
† Leszek Leszkiewicz

Projekt okładki:  
*Mateusz Kowal*

Druk:  
*Poligrafia Wydawnictwa Biblos*

Wydawnictwo Diecezji Tarnowskiej

*Biblos*

Plac Katedralny 6, 33-100 Tarnów

tel. 14-621-27-77

fax 14-622-40-40

e-mail: [biblos@biblos.pl](mailto:biblos@biblos.pl)

<http://www.biblos.pl>

## Spis treści

* * *	7
Dzień pierwszy.....	13
Dzień drugi .....	36
Dzień trzeci .....	46
Dzień czwarty .....	56
Dzień piąty .....	67
Dzień szósty .....	79
Dzień siódmy .....	86
Dzień ósmy.....	96
Dzień dziewiąty .....	109
Dzień dziesiąty.....	120
Dzień jedenasty.....	131
Dzień dwunasty .....	147





\* \* \*

- Pani dyrektor wzywa do siebie. Oczywiście, po zakończeniu lekcji - głos sekretarki zza uchylonych drzwi brzmiał niczym najnowsze rozporządzenie ojca narodu.

Uśmiechnął się lekko i skinął głową na znak, że przyjął jej słowa do wiadomości. Nie znosił tych rozmów na dywaniku. Niestety, przez ostatni rok miał do nich wyjątkowe szczęście, choć gabinet dyrektorski starał się omijać szerokim łukiem, bo już sam widok jego drzwi przyprawiał go o dreszcze. Nigdy nie był jakimś wybitnym pedagogiem. Zawsze starał się jednak wypełniać powierzone mu obowiązki z należytą sumiennością. Tylko ta dyscyplina na lekcjach... to z nią zawsze miał problemy. Był twardym facetem, ale miał gołębie serce. Nie były mu straszne górskie szczyty, śmiało dążył do wytyczonych sobie celów, a jeśli ktoś zaszedł mu za skórę, to dawał odpór. I tylko z tą jedną dziedziną niełatwego zawodu nauczyciela nijak nie mógł sobie poradzić. Najciemniejsze strony swojego charakteru niczym poskromione lwy trzymał w klatce, z której nie chciał ich wypuszczać. Kiedy bowiem znajdowały się na zewnątrz, wtedy były w stanie przysporzyć mu wielu kłopotów. Dobrze pamiętał, co zdarzyło się na początku jego nauczycielskiej drogi i co zaważyło na jego dalszych losach. Wówczas dostał „tylko” upomnienie na posiedzeniu rady pedagogicznej, ale odczuł to jako dotkliwą porażkę. Był początkującym, ambitnym katechetą w małej wiejskiej szkole. Miał w klasie ucznia, który przyzwyczajony do bujania w obłokach i krążenia między światem rzeczywistym a wirtualnym wpadł w szal, gdy został wywołany do odpowiedzi. Zaczął wywracać krzesła, zrzucać ze ścian obrazki, bić głową w ścianę. W pewnym momencie doskoczył do krzyżyka wiszącego nad tablicą. I kiedy już był gotów cisnąć nim w kierunku kolegów i koleżanek z klasy, został obezwładniony. Wyrywając się z rąk katechety, wrzeszczał

niczym opętany. I wówczas wydarzyło się coś, co nigdy nie powinno było się wydarzyć... Żałował tego, ale czasu cofnąć się nie dało. Skończyło się wezwaniem na dywanik i burą w obecności wszystkich nauczycieli. Mogło jednak skończyć się znacznie gorzej. Obiecał sobie, że nigdy więcej na coś podobnego sobie nie pozwoli. Nie był jednak w stanie o tym zapomnieć.

Kiedy po skończonej lekcji szedł przez korytarz, czas dłużył mu się niemiłosiernie. Piętro niżej czekała go niemiła rozmowa. Ilekroć bywał wzywany przed oblicze „jej wysokości” dyrektor szkoły, tylekroć ścisnęło go w gardle i dostawał gęsiej skórki. No i ten niezapomniany widok tylnej części ciała rozłożonej na biurku nad jakiś papierami dyrektorki. I nieśmiertelne: „Nie teraz! Jestem zajęta! Proszę przyjść później!” – rzucane przez ramię bez uprzedniego sprawdzenia, kto i w jakiej sprawie przyszedł. Co czekało go tym razem?

„Pewnie znowu przywita mnie swoim: «Nie mam czasu. Później» – myślał. Albo zapyta: «Nie widać, że jestem zajęta?» – kpiąc w duchu, chciał przynajmniej na chwilę oddalić od siebie złe przeżycia. Bo choć nie była to pierwsza jego wizyta w jaskini lwicy, to tym razem odczuwał wyjątkowy niepokój. Analizując sytuację z poprzedniej lekcji, uświadomił sobie, że sprawy nie mają się dobrze. Wiedział o tym, że szkołę coraz częściej odwiedzają niezadowoleni rodzice, którzy raz po raz wylewają na niego wiadro pompy. A to jakieś dziecko wróciło ze szkoły z nadgryzionym uchem, a to znowu ze stłuczonym łokciem, a to z bólem głowy. A ten przeklinał, a tamten wygrażał. Inny znów grał na telefonie. Jeszcze inny skakał po ławkach. A kiedyś to nawet sobie dwaj chłopcy na przerwie urządzili galę MMA na dywaniku i tak się okładali, że o mały włos – gdyby w porę nie zainterweniował dyżurujący nauczyciel – doszłoby do poważnej bijatyki. Żadne formy perswazji nie skutkowały: ani prośby, ani groźby. Lista uwag w zeszytach i dzienniku rosła. Tyle, że nikt nie wyciągał z nich żadnych konsekwencji. Pani od angielskiego po lekcjach z tą nieokiełznaną klasą zawsze odwiedzała łazienkę i z rozmazanym makijażem wracała na dyżur. Wychowawczyni, pomimo wsparcia ze strony niektórych rodziców,

nie dawała rady. Pedagog szkolna na samo hasło „klasa pierwsza” dostawała turbochodu i znikaała za ścianą. Otuchy dodawał mu jedynie fakt, że za dwa tygodnie rozpoczynają się wakacje.

Tabliczka z napisem: „Dyrektor Szkoły mgr Aldona Pośladkowska” – uświadomiła mu, że dotarł na miejsce. Serce biło mu coraz mocniej. Wziął głęboki oddech i nieśmiało zapukał. Tradycyjnie odpowiedziała mu cisza. Zapukał jeszcze raz. I nic. Uchylił lekko drzwi i kiedy już otwierał usta, aby podać powód swojej wizyty, usłyszał: „Nie teraz! Zajęta jestem!”.

Kątem oka zobaczył jak zwykle rozpostartą na biurku postać, pochyloną ku monitorowi komputera, tylną częścią ciała skierowaną w stronę drzwi. „Myślałem, że na mój widok zaczniesz zionąć ogniem” – przemknęło mu przez głowę. „Ale nie. To tylko standardowa procedura... Skoro nie czeka na mnie w progu, to pewnie nie będzie aż tak źle” – uspokajał się, zamykając drzwi od gabinetu i wychodząc na korytarz. Mijające go osoby kiwały głowami. „Czyli jednak coś się święci” – pomyślał. Po kwadransie wejście jaskini stało przed nim otworem, a głos z jej głębi zawołał: „Tak? O co chodzi?”.

- To ja, pani dyrektor. Szczęść Boże. Wzywała mnie pani...

- Proszę księdza! To jest skandal! Żeby na lekcjach religii działały się takie rzeczy... - podniesiony głos szefowej słyszalny był zapewne z odległości kilkudziesięciu kroków. - Ksiądz chyba sobie zdaje sprawę, że dłużej nie możemy ze sobą współpracować?

- Dlaczego? Tylko dlatego, że nie mogę zapanować nad małymi dziećmi? To maluchy. Ruchliwe są - ksiądz Mateusz próbował się tłumaczyć.

- Ja już mam dosyć tych skarg, tych pism, tych maili i tego ciągłego szargania dobrej opinii szkoły w Internecie! - ryk lwicy stawał się coraz donośniejszy. - Jeśli nie ma ksiądz odpowiedniego podejścia do dzieci, to proszę zrezygnować z nauczania!

- Żeby to było takie proste... Nikt mnie nie pytał, czy mam czy nie mam. Dostałem misję kanoniczną do tej szkoły i podjąłem związane z nią obowiązki - bronił się. - A czy wypełniam je dobrze czy nie, to już nie mnie oceniać. W każdym razie staram się - dodał.

- To, co się dzieje na księdza lekcjach, przechodzi ludzkie pojęcie! Jak tak dalej pójdzie, to sprowadzi ksiądz do naszej szkoły kuratora, prokuratora i nie wiadomo kogo jeszcze!

- A co pani zdaniem - ksiądz Mateusz próbował uczynić rozmowę bardziej rzeczową - powinienem zrobić? Czy widziała pani wpisy do dziennika? Do zeszytu uwag? Przecież reagowałem na niestosowne zachowania uczniów. I nic. Żadnej reakcji. Ani ze strony rodziców, ani ze strony pedagoga, ani ze strony wychowawcy. A o tym, że nauczycielka angielskiego stale wychodzi po lekcjach w tej klasie z płaczem, też pewnie pani nie wie?

Sekretarka poprawiła okulary i rzuciła tylko: - To ja, pani dyrektor, zaniosę te dokumenty...

- Nie rozmawiamy o języku angielskim, tylko o religii, proszę księdza - skwitowała pani dyrektor, nie zważając na słowa sekretarki. - Myślę, że najlepszym rozwiązaniem w tej sytuacji będzie... - tu jej głos się lekko zawiesił - jeśli ksiądz zmieni szkołę. Nie widzę bowiem możliwości dalszej współpracy.

Zapadła głęboka cisza. Oboje zbierali myśli.

- Proponuję porozumienie stron - dokończyła dyrektorka, patrząc w okno.

- Rozumiem - odparł Mateusz, chcąc jak najszybciej zakończyć tę zenującą dla niego rozmowę i wydostać się na zewnątrz. Po ostatnim wezwaniu na dywanik w podobnej sprawie ciężko to odchorował. Starał się nawet zastosować do dyrektyw pani dyrektor i zabierać dzieci do prototypu sali multimedialnej, w której znajdował się telewizor służący za monitor, dwa odtwarzacze DVD, komputer zawieszający się zaraz po starcie i tablica multimedialna, która odmawiała współpracy z komputerem. Nawet nowoczesna technologia, przy której wyrasta to młode pokolenie, nie zrobiła na nich jednak żadnego wrażenia. - Mam zatem nadzieję, że moje odejście przysłuży się do ogólnej poprawy sytuacji - rzucił na odchodne ksiądz Mateusz, kierując się w stronę drzwi, które w tym momencie wydawały mu się bramą do wolności. Do jego uszu dotarły jeszcze jakieś strzępki słów, ale nie zrozumiał ich sensu. Chciał jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu. Czuł się jak bokser ogłuszony silnym ciosem na ringu.

Kilka dni po tym zdarzeniu wiedział już, że zostanie przeniesiony do innej parafii. Miał jednak jeszcze do zrobienia jedną rzecz: wyjazd z młodzieżą w ukraińskie Karpaty. Obiecał im. Nie chciał ich zawieść... ani kolegi, któremu w tym czasie zapewnił możliwość wyjazdu na urlop. Ale telefon, na który od dawna czekał, nie dzwonił. Przeczuwał, że te wszystkie sprawy zbierają się nad nim jak sępy nad padliną. Jedno jest pewne: jeśli nie uda mu się kupić busa, którym mają pojechać na Ukrainę, wszystko weźmie w łeb! A danego słowa chciał dotrzymać. Bez busa byłoby to jednak niemożliwe. Mieli jechać w takie miejsce, gdzie nawet miejscowe „marszrutki” nie dojeżdżają. A bus jest cennym nabytkiem dla parafii, bo może się przydać w pracy. Telefon jednak milczał.

- Dobrze, panie Andrzeju. Głową muru nie przebijemy - ksiądz Mateusz z minorową miną odłożył telefon. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Czuł się potwornie zmęczony. Wydarzenia ostatnich dni mocno odbiły się na jego nerwach. Po chwili położył się na wznak i utkwiał wzrok w pęknięciach rysujących się na suficie. „No i co teraz?” - zadawał sobie pytanie, na które nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi. „Termin wyjazdu się zbliża, a busa nie ma. Po wakacjach czekają mnie przenosiny. Super” - kpił z siebie w myślach. „Albo nigdzie nie pojedziemy, albo... coś wymyślę. Czasu mało” - krążyło mu po głowie. Wstał, aby wziąć zimny prysznic.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy - uśmiechał się od ucha do ucha. - Stary, jestem twoim dozgonnym dłużnikiem! - miał ochotę skakać z radości.

Okazało się, że jego kolega z podstawówki jest w posiadaniu nieocenionego busa. Musiał jednak uzbroić się w cierpliwość, bo biznes to biznes. Czasem jeździ na czterech kołach. Zrządzeniem losu Rafał - ów kolega - poszerzał swoją działalność i właśnie zakupił samochód marki Mercedes 215. A w związku z tym wysłużony VW Transporter T 3 - nadawał się idealnie w ostatnią

podróż przed sprzedażą. Mateusz zacisnął pięści w geście tryumfu niczym Lewandowski po zdobyciu kolejnej bramki. „A jednak dotrzymam słowa, jednocześnie nie będę musiał kupować żadnego gruchota” – cieszył się w duchu.

Od tej pory dni miały mu o wiele spokojniej. Kamień spadł mu z serca. Nie myślał już o niczym innym, jak tylko o tym, aby wyjechać stąd, zostawić te wszystkie sprawy i włączyć się z młodzieżą po dzikich Karpatach na Ukrainie.

## Dzień pierwszy

- Droga wycieczko, dojeżdżamy do granicy! - zakomunikował ksiądz Mateusz wyraźnie ożywiony. - Tylko proszę was, bez żadnych wygłupów, komentarzy i innych tego rodzaju rzeczy. Oni... to znaczy celnicy nie znają się na żartach. No i wkurzają się, jak się im pracę utrudnia. A nie chcielibyśmy tutaj kiblować kilka godzin, prawda? - spojrzął znacząco w kierunku grupy, która... kompletnie nie zwracała uwagi na to, co do nich mówił.

- Przestań, Andrzej! - piskliwym głosem odgrażała się Agnieszka.

- Radek! - krzyknęła Beata. - Oddaj mi telefon! I to już!

Spokojniej było tylko pośrodku. Monika, Halina i Jolka siedziały jak na lekcjach historii ze swoją ulubioną belferką.

- Ej! Możecie przez chwilę być cicho? - zagrmiał ksiądz Mateusz. - Mówiłem, żeby się zachowywać w miarę spokojnie. Bo tutaj żartami niewiele wskóracie. No chyba, że zależy wam na kontroli osobistej... Jeśli tak, to proszę bardzo. Zafundujecie sobie pierwszą atrakcję tego dnia.

Zrobiło się ciszej.

- A teraz słuchajcie - głos księdza Mateusza zabrzmiał poważniej. - Róbcie, co wam każą, i nie wykonujcie żadnych podejrzanych ruchów. A wówczas być może nie będą nas trzepać.

- Kurde. Jak w filmach z Jamesem Bondem - odezwał się Radek.

- Chcesz się sam przekonać? - zapytał ksiądz Mateusz. - Wezmą cię na kontrolę osobistą. Zdejmą ci spodnie i zaczną szukać chipów pod skórą. A jak nie znajdą, to... zaczną dalej szukać - ksiądz Mateusz z trudem powstrzymywał śmiech, gdy zobaczył ich wyraz twarzy. - No co? Bo to raz mi się przytrafiło? Widzieliście moją bliznę na brzuchu? No właśnie. Więc w waszym interesie leży zachowanie spokoju - mówił z taką powagą, że byli skłonni uwierzyć we wszystko, co mówi. Roześmiał się dopiero wtedy, kiedy udało mu się pstryknąć im zdjęcie.

Odprawa celna odbyła się bez większych przygód. Tuż za granicą czekała ich jeszcze standardowa kontrola drogowa. Na szczęście i tu obeszło się bez przykrych niespodzianek. Ruszyli więc przed siebie, a czas płynął im nader szybko. Wokół nich rozciągały się sielskie krajobrazy, które zapadały głęboko w pamięć: rozległe pola porośnięte złotymi łanami pszenicy, zaniedbane nieco domostwa i budynki gospodarcze, dziurawe drogi, a głównie wszechobecne krowy, których nie sposób było ominąć. Przejechali Stary Sambor, kierując się w stronę Stanisławowa, i dopiero w nim zatrzymali się na odpoczynek.

- Halo! Baza do księdza Mateusza! - kilka głosów wyrwało go jakby z letargu.

- Tak? Kanapki? Kawa? - pytał bez ładu i składu, tak że wszyscy parsknęli śmiechem. - No i z czego rżycie? - obruszył się, gdy dotarło do niego, gdzie jest i co robi.

- A o czym to ojciec dyrektor tak rozmyśla? - spytał Radek.

- O niczym szczególnym. Ksiądz Janusz, to znaczy ten mój kolega, którego jedziemy zastąpić... W sensie... którego ja jadę zastąpić - Mateuszowi plątał się język - miał zadzwonić, kiedy tylko przekroczymy granicę. Planowaliśmy spotkanie mniej więcej w połowie drogi. A to już całkiem niedaleko... A on jak nie dzwonił, tak nie dzwoni. I nie wiem, co i jak. Byłem kiedyś co prawda u niego, ale nie wiem, czy od tego czasu coś się nie zmieniło. Czy nadal mieszka w takich warunkach, jak mieszkał, to znaczy... a zresztą zobaczycie sami. Na waszym miejscu nie spodziewałbym się luksusów... - urwał nagle, bo właśnie zadzwonił telefon.

- Że co? Kaptcia złapałeś? Aha. I gdzie będziesz? - zza volkswagena dochodziły tylko urywane słowa. - I tam będziesz na nas czekał? OK. Nieźle się zaczyna - w głosie Mateusza słychać było wyraźną ulgę. - A co u ciebie? W twoim pałacu wszystko po staremu? No to jedziemy pomалу, aby nie tracić czasu. Dzięki! - zakończył rozmowę, po czym zwrócił się do współtowarzyszy podróży: - Droga wycieczko. We have problem



- powiedział z uśmiechem. - Księdzu Januszowi nawalił jego kosmiczny wehikuł i zatrzymał się na stacji paliw, jakieś półtorej godziny stąd. Tam się z nim spotkamy i tam oficjalnie wręczy nam klucze do swojej rezydencji, a przy okazji udzieli niezbędnych wskazówek co do bezpieczeństwa poruszania się po okolicy.

- Woow - zawyli niemal wszyscy. - Fajna wyprawa jak na razie. Git. Mnie się podoba - skwitował Andrzej, spotykając się z powszechnym poparciem.

- I w końcu nawet kanapki nie zdążyłem zjeść. O kawie już nie wspomnę - ksiądz Mateusz rzucił w stronę wychylonych przez okno swoich podopiecznych.

- Niezła jazda - odezwała się milcząca dotąd Jolka.

- A ty w ogóle coś słyszałaś przez te turbosłuchawki? - zapytał pełen wątpliwości ksiądz Mateusz, zerkając we wsteczne lusterko.

- Mam podzielność uwagi - dziewczyna się uśmiechnęła.

- I jak się wam podoba Ukraina? - zapytał, tym razem kierując swoje pytanie do wszystkich.

- Trochę tu, jakby to powiedzieć - próbował się wysłowić Radek - betonowo! Tak bym to określił. I wszędzie te ruskie litery. O, Hapaj Bank!

- To nie Hapaj Bank, tylko Nadra Bank - księdza Mateusza rozbawiła ta nowa nazwa ukraińskiego banku, którą stworzył Radek nieradzący sobie z grażdanką. - Ale swoją drogą Hapaj (ale przez ch) Bank to byłaby bardziej odpowiednia nazwa - zaśmiał się ironicznie. - Powiedzcie jednak, co słyhać w Polsce, bo widzę, że nie odrywacie wzroku od waszych tabletków, smartfonów i tych wszystkich gadżetów...

- Księżu! My nie siedzimy w wiadomościach - odezwała się Monika.

- A tak. Te wasze facebooki i twittery - pokręcił głową. - Teraz to nawet jak ktoś udaje się do toalety, to od razu wrzuca posta: „Właśnie wchodzę i nie wiem, ile mizejdzie”. Albo: „Skończyłem i fajnie było” - ironizował.

- Ksiądz nie ma, to się nie zna. Nie ma cię na fejsie, to nie żyjesz - skwitowała Agnieszka. - Ale skoro ksiądz taki ciekawy świata, to proszę bardzo: koleżanka przesłała mi właśnie pewną historię. Facet się pochwalił, jak to się z Kościoła wypisywał.

- Apostazji dokonał? Pokaż - Jolka wyrwała Agnieszce tablec prawie razem z kciukiem. - U nas w szkole jest na to boom!

- Na występowanie z Kościoła? - zapytał z niedowierzaniem Mateusz.

- Tak. Bo teraz, no wie ksiądz, tyle się szumu wokół tego zrobiło. I niektórzy z naszych znajomych są tak zapatrzeni w niektórych celebrytów - że chcą spróbować, jak to jest. Niektórzy idą dla żartów, inni na poważnie.

- Przeczytasz to w końcu? - ponagliła ją po dłuższym milczeniu Halina.

- Ta... Jasne. No więc tak...

- Dzień dobry, panu księdzu - rzekł wchodzący do kancelarii parafialnej mężczyzna.

- Dzień dobry, na wieki - odparł nieco sarkastycznie siedzący za biurkiem wikary. Styl powitania i wyraz twarzy kolejnego interesanta nie napawał go zbyt optymistycznie. Przyglądał się wyżełowanym włosom gościa, energicznemu ruchowi jego ust, w których wkrótce pojawiła się guma do żucia. Na nosie, tuż pod grzywką, miał osadzone przeciw-słoneczne okulary. Krótkie spodenki typu „bojówki” nie zwiastowały pokojowego celu wizyty. - Czym mogę służyć? - spytał w końcu ksiądz.

- A ja w sprawie, no, tego, wypisania się z waszej firmy - wycedził.

- Z firmy, powiada pan...

- Czy źle się wyraziłem?

- Udaje pan naiwnego? - ksiądz nie krył irytacji. - To już kolejny w ciągu tygodnia interesant, który postanowił wystąpić z Kościoła. A... zapomniałem! Przecież ogłoszono tydzień apostazji. Czytałem o tym w Internecie, bo widzi pan, ja jestem nowoczesny i posiadam Internet, wbrew obiegu opinii, że Kościół to Ciemogród.

Mężczyzna popatrzył na księdza z nieukrywaną satysfakcją. Wiedział, że sprawa, z jaką przyszedł, poruszyła go na tyle, iż nie mógł sobie odmówić ironicznych uwag pod jego adresem. Postanowił to wykorzystać jako kolejny argument za słusnością swojego wyboru: